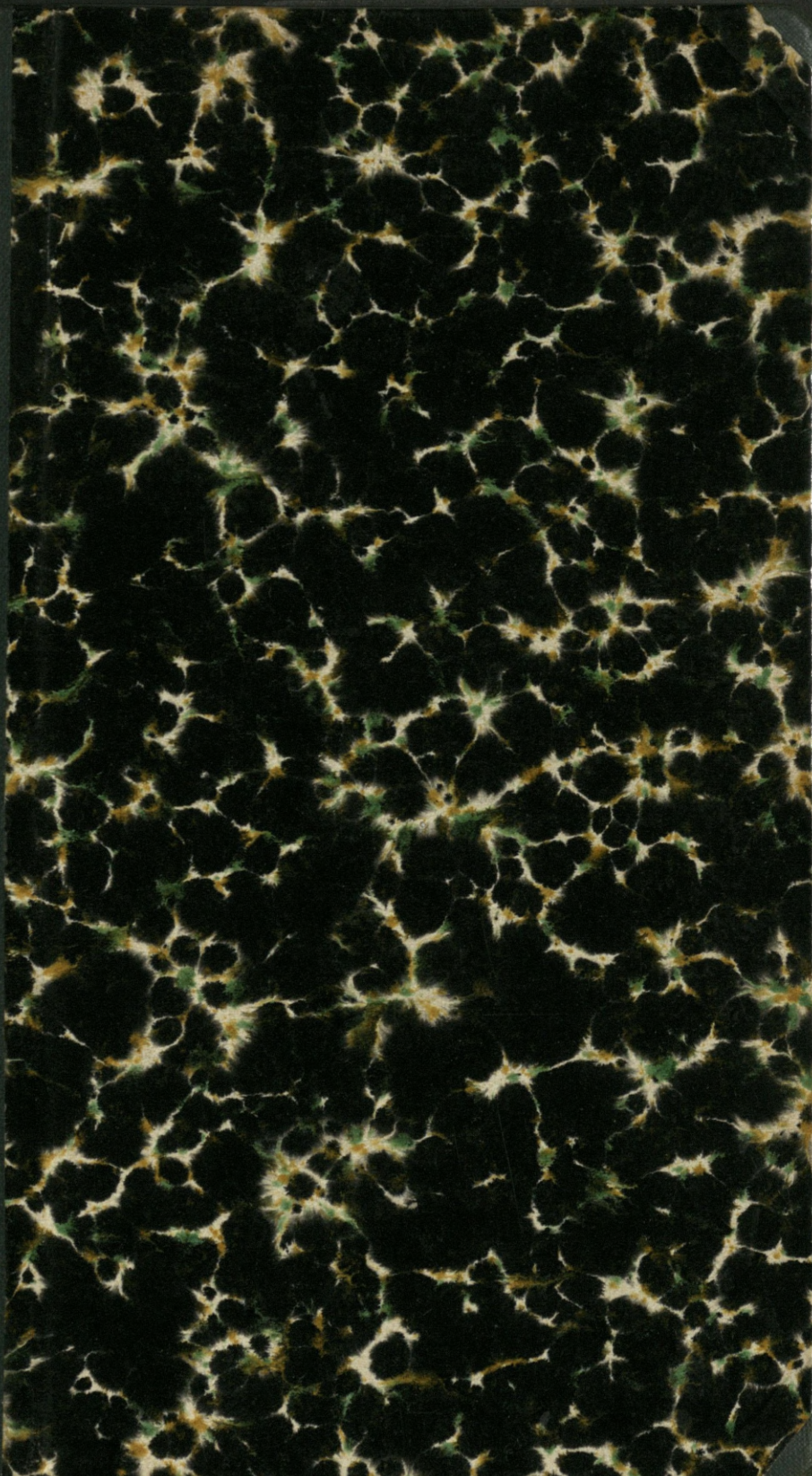
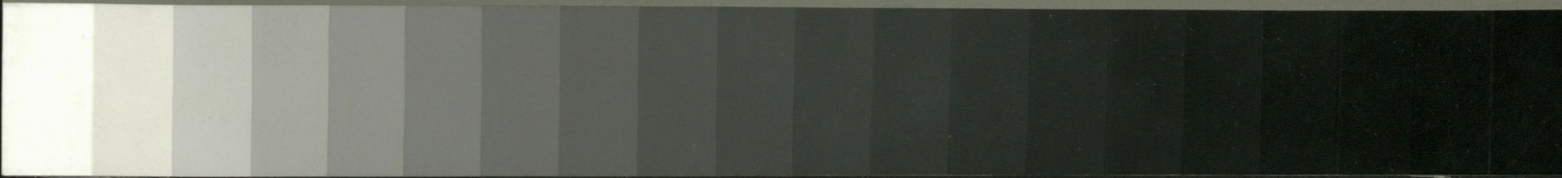


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



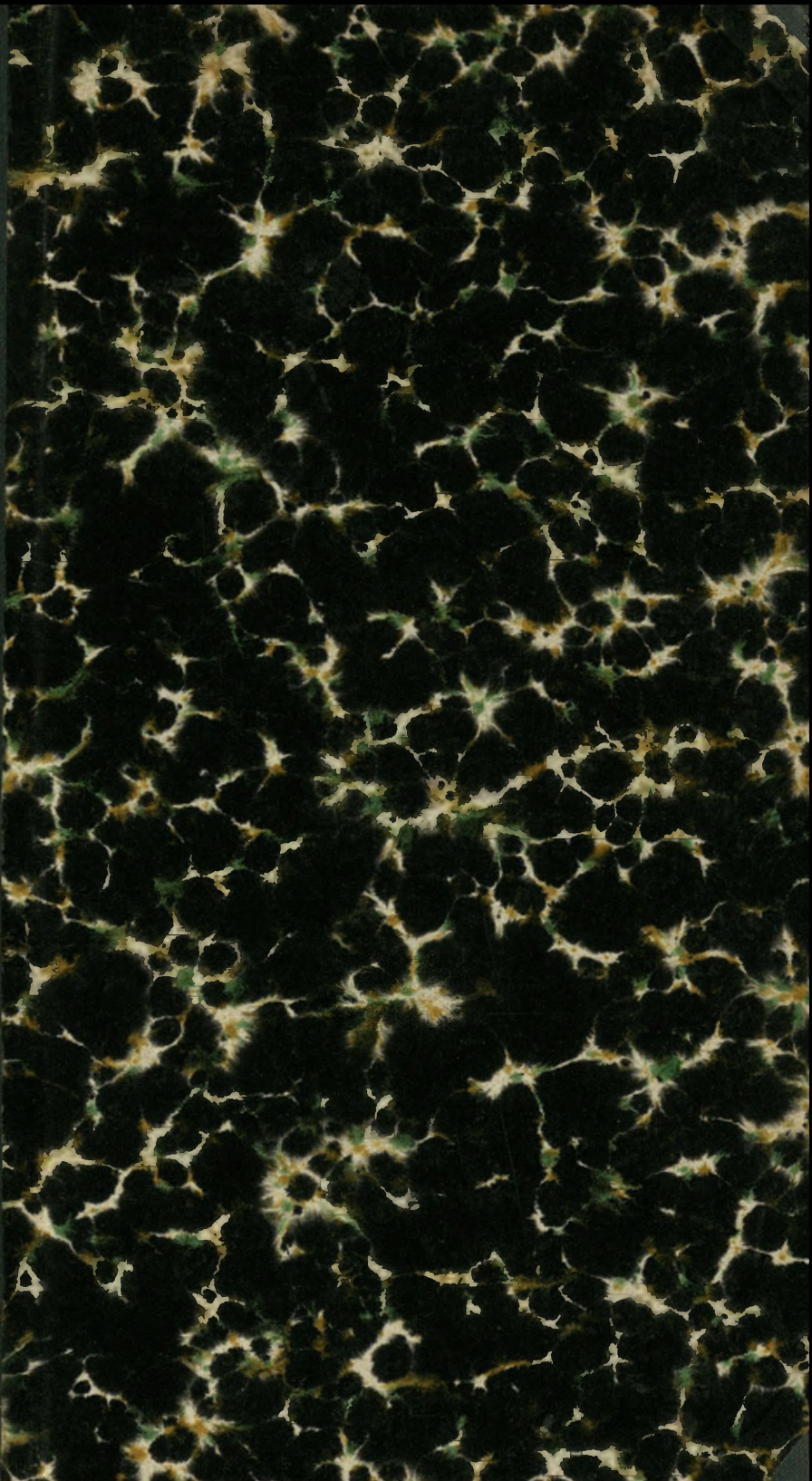
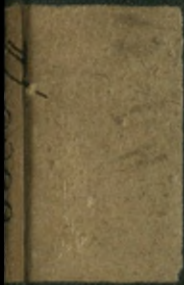
Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Colour Chart #13

DANES-PICTA.COM



# GRUNWALD I BERESTECZKO

NAPISAŁ

STANISŁAW SMOLKA

---

---

KRAKÓW

KSIĘGARNIA SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ

1910.

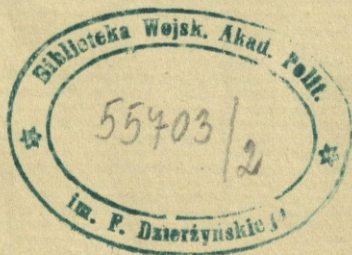
93/438

5657

ODBITKA Z „PRZEGLĄDU POLSKIEGO“.



~~5388~~ / II



ODBITO W DRUKARNI „CZASU“



## I.

Tysiąca lat dobiega nasza historia, przepołowiona Unią. W pierwszej połowie naród formuje się. Ku jej schyłkowi, sformowany w odrębną indywidualność, jednym rozmachem w trójnasób rozprzestrzenia obszar swych dziejów, porywając w ich krąg sąsiednie ludy, współplemienne i obce. Drugie pasmo pięciuset lat przepołowione wojnami kozackimi: od nich Polska stacza się w przepaść, choć jeszcze w rozstrzygającej chwili wytrzymała dość siły, aby byt swój utrzymać.

Ta chwila rozstrzygająca — to bitwa pod Beresteczkiem, największa w historii naszych wojen batalia. Jedna tylko znaczeniem jej dorównywa, 251 lat przed nią: Grunwald. Obie mają jeden wspólny rys zasadniczy, obie stoczone pod znakiem: „Być albo nie być“. Tam chodziło o byt narodu, który, świadomie czy pchany zbiegiem wydarzeń, rwał się do wielkich zadań, niosących przeobrażenie Wschodowi Europy, a u samego ich progu tą próbą bytu i sił opłacił ów śmiały poryw. Tu bronił się od zagłady ten sam naród, ten sam i nie ten sam, bo rozrośnięty szeroko, wchłonawszy w siebie różnorodne pierwiastki, które weń wsiąkły w ciągu półtrzecia wieku, gdy pod Grunwaldem niegdyś, obok niego zszeregowane, obce mu były, zgoła z nim jeszcze niezespalone. Nie całą masą wsiąkły w następnych wiekach, ale wniósł

w krew polską dużo obcej przymieszki, w narodowość nie-mało różnorodnych etnicznych właściwości.

Pod Grunwaldem — mówią epigonowie Krzyżaków — Wschód Europy stał się z przednią czatą Zachodu, najdalej wysuniętą. W oświeceniu niemieckiej historyografii, zwycięstwo to brutalnej siły wschodniego barbarzyństwa, nad słabszym liczebnie wykwitem zachodniej cywilizacji. *In der Tat* — powiedziano — *wurde der Kampf zu einer Ueberschüttung einer hochgestiegenen Civilisation durch slavisch-tartarisches Barbarei.*

Pod dowództwem Witolda — tego nikt nie zaprzeczy — stanęła z nami przeciw Krzyżakom nie tylko Litwa, na pół lub przeważnie pogańska, Żmudz, przywiązana gorąco do starych bogów, nie tylko Ruś schizmatycka, wśród której męstwo smoleńskich hufców zaważyło na szali zwycięstwa — i Tatarów nie brakło, obok Wołochów, w tej różnobarwnej rzeszy. Polscy rycerze, idąc w bój z pieśnią Bogarodzica, z głęboką wiarą w słuszność własnej sprawy, nie bez zaniepokojenia patrzyli na tych towarzyszy broni, których zawziętość podniecał widok nienawistnego krzyża na proporcach, na płaszczach rycerzy-mnichów. Świadkiem nasz Długosz. Jego niepodejrzaniem świadectwem stwierdzone również fakta dzikiego rozpasania pogan przed bitwą, po wkroczeniu w krzyżackie ziemie. Mniejsza o wyuzdane, wstrętne okrucieństwa, mordy bezbronnych niewiast i niemowląt — umieli to i Krzyżacy w swoich najezdach, choć z czarnym krzyżem na płaszczach. Gdy jednak na parę dni przed bitwą, przy grabieży jednego kościoła, Tatarzy i Litwini wyrzucili z ołtarza i zelżyli Przenajświętszy Sakrament — nie dziw, że w szeregach rycerstwa pod polskimi znakami mąciło się sumienie: czy Bóg pobłogosławi tej wojnie? Trzeba wmyślić w psychologię chrześcijańskiego rycerza przed pięcioma wiekami. Jakoż, by uspokoić zatrwożone sumienia, tem wymowniej krótko przed bitwą, w dzień Nawiedzenia Najświętszej Panny, uzasadniał „sprawiedliwość“ tej „Wielkiej Wojny“ biskup płocki w polowem kazaniu, zagrzewając chrześcijańskie rycerstwo do bliskiego już boju.

Niema tu żadnej ujmy dla pamięci Grunwaldu. Z czystem sumieniem i z głębi przekonania mógł biskup mówić

o „sprawiedliwej“ wojnie z Niemieckim Zakonem. Wszak długie lata żył ten Zakon w pokoju z Polską: dwa w Polsce pokolenia spoczęły w grobie, którym nie przyszło ani razu zmierzyć się z Krzyżakami w obronie własnych granic. Dopiero od unii z Litwą, na polskim widokregu rysowało się znowu widmo wojny z Zakonem, tak strasznej i niepewnej walki o byt, że długie lata nie szczędzono zabiegów, by ją zażegnać. O Litwę tu chodziło: dla Litwy Polska stawiała swój byt na jedną kartę. Jaskrawo uwydatnił to cały przebieg ostatnich rokowań z Krzyżakami, przed rokiem, w lipcu 1409 r. Posłowie polscy oświadczyli Mistrzowi, że Jagiełło nie może opuścić Witolda, że jednak ofiaruje jeszcze raz życzliwe pośrednictwo. Odrzucił je Jungingen; nie chciał wyrzec się wojny z Litwą. „Ostrożnie — odparli Polacy — wojna z Litwą, to wojna z Polską!“ Na to Mistrz zerwał wszelkie układy znamiennymi słowami: „Dzięki wam za otwartość! Wolę zatem wymierzyć cios w głowę, niż w tułów: lepiej uderzyć na uprawny, osiadły i zaludniony kraj, niżli na dziec pustyńną“. I wtargnął pustoszącym najazdem w ziemię dobrzyńską. Zawarto jeszcze wówczas całoroczny rozejm, dla obu stron niezbędny, aby skorzystać z czasu i skupić wszystkie siły do boju o byt Polski, złączonej z Litwą, albo o byt Zakonu. W średnich wiekach niełatwo wskazać drugi moment, gdzieby się gotowano do starcia z tak żywą świadomością, że ta walka rozstrzygnie na całą przyszłość o losie jednej lub drugiej strony. *Polonorum milites obstinaverunt animos, aut vincere aut mori* — „Rycerze polscy postanowili święcie zwyciężyć albo zginąć“. Długosza słowa, nie późny jakiś odgłos romantycznego nastroju; Długosz, syn grunwaldzkiego rycerza, rósł pośród świeżych wspomnień „Wielkiej Wojny“.

Bez zmierzenia się z Krzyżakami, opuszczeniem Litwy, zawróceniem z tej nowej drogi, na którą Polska wstąpiła od chrztu Jagiełły, można było okupić korzystny, trwały pokój. Zakon bowiem, utwierdzony od dawna na bałtyckim побереżu, ubezpieczony w tej pozycji traktatem kaliskim r. 1343, mógł tolerować Polskę w jej Kazimierzowskich granicach, mógł żyć z nią nawet w zgodzie na długą metę. Musiał natomiast wszystkie siły wyczerpać na jej zgubę, gdy

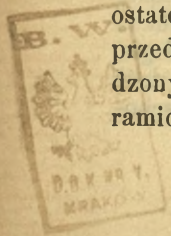
złączyła się z Litwą, odkąd Unia razem z chrztem Litwy odjęła rację bytu krzyżackiemu państwu nad Bałtykiem i wydała nań wyrok śmierci, powolnego konania. W cztery lata po chrzcie Jagielly, Mistrz Rotenstein stanął w pół drogi, co słusznie mu zarzucali Krzyżacy; nie zdobył się na czyn, na który po 20 latach było za późno: rozbić Unię albo Polskę i Litwę zgnieść jednym ciosem.

Rycerstwo polskie szło w bój z postanowieniem: zwyciężyć albo zginąć. Miałoż jednak jasną świadomość, jakiejto sprawie niosło w ofierze krew? U góry, w Radzie królewskiej, której przedstawiciele przed rokiem rwali negocjacje z Zakonem, była pełna świadomość dylematu: wyrzec się unii z Litwą lub w jednym z nią szeregu bronić własnego bytu. Tam też mieszały się niezawodnie i splatały różnorodne motywy: z religijnymi polityczne, ekonomiczne, a nawet względy podrzędnych interesów, osobistych, rodowych. Rycerstwo jednak dalekie było od późniejszego rozpolitykowania szlacheckiej rzeszy. Prostym naturom, z głęboką wiarą w sercu, w obliczu śmierci wiara była wszystkim. A pod proporcami Witolda, obok mnogiej pogańskiej czerni, splamionej bezczeszczeniem chrześcijańskich świętości, stały zastępy pobożnych Litwinów, którzy w dzieciństwie pogańskim jeszcze bogom składali ofiary, a pod Grunwaldem patrzyli śmierci w oczy z żywą, naiwną wiarą neofitów, nie gorsi chrześcijanie od polskich rycerzy, z którymi ich zbratała, w jedne rody związała po trzech zaledwie latach unia w Horodle. Rycerze nasi walczyli bezwątpienia ze świadomością, że leją krew w „sprawiedliwej wojnie“, nie tylko w odwet za krzywdy, dla odzyskania zagrabionych ziem polskich, ale i za zbawienie tysięcy dusz za Niemnem i za Bugiem.

I było tak istotnie. Krew pod Grunwaldem przelana zrosiła wątły posiew chrześcijaństwa na Litwie. Żmudź, najtwardsza ostoja pogańskich wierzeń, od stu lat już nękana krzyżackim mieczem i przezeń właśnie tem silniej utwierdzona w pogaństwie, w przededniu grunwaldzkiej bitwy z rozkoszą krzyż deptająca, po trzech latach stanęła pod jego znakiem, w rok horodelskiej unii. Nieświadomie — jak tylekroć bywało w historii — pogańskie rzesze Witoldowego wojska walczyły tam o swoją, o swych potomków chrześcijańską

przyszłość, przeciwko Zakonowi, który był powołany do szerzenia wiary. Gdyby dzień 15 lipca przyniósł zwycięstwo Zakonowi, trudno sobie wystawić utwierdzenie i rozwinięcie apostolskiego dzieła na rozległych obszarach Giedyminowych dzierżaw, wraz z rozpostarciem zachodniej cywilizacji. Zakonowi było potrzebne pogaństwo na prawym brzegu Niemna, jak powietrze dla ludzkiej piersi, woda dla skrzeli ryb. „Pół królestwa za garstkę pogan“ — ten jęk ginącego króla-rycerza brzmi wówczas we wszystkich rozpaczliwych zabiegach Zakonu Niemieckiego, zachwianego w swej racji bytu i skazanego na dogorywanie, odkąd Litwa ochrzczona. Dla Zakonu nie było obok niej miejsca: znalazło się dopiero po stu latach dla apostatów, którzy złamali zakonne śluby i przekształcili krzyżackie państwo w świecką potęgę, tak związaną od tego czasu ze sprawą protestantyzmu, jak byt Krzyżaków łączył się dawniej z bliskim sąsiedztwem pogan.

Niema zatem powodu rozprawiać się z frazesami o tryumfie wschodniego barbarzyństwa nad przednią strażą zachodniej cywilizacji. W tem największa chwała Grunwaldu, że skupił różnojęzyczne tłumy wschodniego barbarzyństwa pod wodzą Polski przeciw przeniwierzemu posterunkowi katolickiego Zachodu, a w interesie Kościoła i cywilizacji. Kitem przelanej krwi zespolił Grunwald te rzesze z Polską, z jedną wówczas organizacją, która w XV wieku mogła skutecznie nieść na północny wschód Europy, ze światłem wiary, posiew cywilizacji chrześcijańskiego Zachodu. Ten posiew, od czterech wieków nad Wisłą i nad Wartą wyhodowany, wykarmił, stworzył Piastowską Polskę: wydobyl ją z nicości, w której przepadła nadłabska Słowiańszczyzna, zorganizował i utrwalił jej byt. Aby ostać się w walce o byt, odparta przez Niemców od Bałtyku, musiała z rodzimych granic wystąpić ku wschodowi; za słabą na orężną zaborczość, psychicznym swym ustrojem do niej nie powołana, posunęła się ku wschodowi w pokojowej łączności z dwujęzycznym państwem litewskim, gdy przed niem u schyłku XIV stulecia zarysował się ostatecznie ten sam historyczny dylemat, co u kolebki Polski przed czterema wiekami. Wzgardzony tyle razy, zniemawiany od wieków krzyż rozpostarł nad Litwą dobroczynne ramiona, odkąd przestał być dla niej godłem krzyżackiego



Zakonu, synonimem łupieskich najazdów i grabieży; po srogiem wytepieniu współplemiennych Prusaków, po stu latach walk z Krzyżakami, jedynie od strony Polski mogło chrześcijaństwo znaleźć przystęp na Litwę i utwierdzić się w trwałej łączności z Polską, pod wspólnem berłem litewskich władców, na polski tron wezwanych. Bez Unii, groziły pogańskiej Litwie losy nadłabskiej Słowiańszczyzny — w jednej, co najmniej, części, sąsiadującej z dzierzawami Krzyżaków — w drugiej czekało ją nieuchronne zruszenie pod rządami ochrzczonych w schizmie Giedyminowiczów, wśród szerzącego się coraz bardziej od stu lat wpływu podbitej Rusi, w cieniach wrogiej dla kulturalnych prądów Zachodu martwoty wschodniej Cerkwi. Miała Litwa w tych czasach rzadki materiał na wielkiego człowieka, o pokroju Chrobrego czy św. Szczepana; w XV wieku jednak za późno było na powtórzenie ich dzieł nad Niemnem. I pod Witoldem, o własnych siłach, na rodzimym, zanadto długo zaniedbanym gruncie, brakło tam materiału na chrześcijańskie, narodowe państwo. I Niklot, dzielny obrońca Słowiańszczyzny, nie zdołał w nią tchnąć ducha, nie zbudował narodowego państwa za Odrą. W XII wieku za późno już było na to, co Piastowie zdążyli zdziałać w X-tym. Niklot utrzymał tylko swój ród książęcy, który do dziś panuje na bałtyckiem pobrzeżu, dał jedynie początek meklenburskiej dynastji, zniemczonej wkrótce, w paru pokoleniach, jak zniemczyła się ziemia słowiańskich Obotrytów, nie mogąc tak, jak Litwa, skądinąd przyjąć posiewu chrześcijaństwa, tylko od Niemców.

Tak czy tak, los litewskiej narodowości rozstrzygnięty był już przed Unią. Język litewski utrzymał się jedynie pod strzechą wieśniaczą, na północnej rubieży W. Księstwa, i z tej przystani od wieków już wypierany przez napór białoruskiego narzecza, zwolna lecz stale <sup>1)</sup>. Na wyżynach, u dworu,

<sup>1)</sup> Nie ulega wątpliwości, że litewskie osiedlenie obejmowało w przedhistorycznych czasach nierównie rozleglejszy obszar od dzisiejszego, mianowicie na południu i na wschodzie dzisiejszych swoich granic. Świadczą o tem badania lingwistyczne nazw topograficznych, sięgających odległej starożytności, zwłaszcza topografii hydrograficznej, nie dość daleko jeszcze posunięte, żeby stwierdzić dokładnie wscho-

wśród panów i bojarów, już w samych początkach Unii roz-  
wielmożnił się zdawna język białoruski, łatwy od tego czasu  
środek porozumienia z Polakami. Nie Polska stłumiła litew-  
ską narodowość: ona to sama kurczyła się u dołu, u góry  
zaś zanikła wkrótce ze szczętem pod długoletniem, trwałem  
oddziaływaniem Rusi. Później dopiero, w XVI wieku, w epoce  
reformacyi, ruski język poczynał coraz bardziej ustępować  
polskiemu wśród magnatów i szlachty, rdzennych Litwinów.  
Zrazu w życiu potocznem, jako język domowy i towarzyski,  
następnie w umysłowem, jako język piśmienny, na podno-  
szącym się nieustannie poziomie kulturalnych potrzeb. Naj-  
dłużej przetrwał na Litwie ruski język urzędowy, jak gdyby  
prostą siłą bezwładności, w kancelaryi wielkoksiążęcej, w aktach  
sądowych. Doszło do tego, że w urzędowych księgach,  
w aktach grodzkich i ziemskich, część ich formalną, jak da-  
wniej, spisywano po rusku, według starych szablonów, treść

---

dnie i południowe granice pierwotnego osiedlenia litew-  
skiego szczepu; w każdym jednak razie dzisiejsze już re-  
zultaty tych badań dowodzą z wszelką ścisłością tego  
niewątpliwego faktu w szerokiej rozciągłości. Co do mnie,  
myślę, że z postępem badań lingwistycznych, antropolo-  
gicznych i paleoetnologicznych, nauka uzna szczep biało-  
ruski za zruszczonych Litwinów, z nieznaczną tylko przy-  
mieszką słowiańskiej, ruskiej (a może i lechickiej) krwi.  
I za naszej jeszcze pamięci, na północnych granicach wileń-  
skiej gubernii, dał się obserwować dalszy ciąg tego  
wiekowego procesu: zanikanie litewskiego języka pod na-  
porem białoruskiego narzecza, bez żadnego nacisku, samą  
siłą faktów. Litwini nie emigrowali, nie wynieśli się  
z zajmowanych niegdyś obszarów, pozostali w odwiecznych  
swych siedzibach, ale przestawali z biegiem czasu mówić  
własnym językiem, przyjmując mowę niezbyt podobno  
licznych ruskich osiedleńców, których osadnictwo rozsze-  
rzało się już dawno przed Mendogiem w dorzeczu Niemna  
i w przyległych terytoryach. Por. Карскіѣ: Бѣлорусы.  
(Wilno, 1904, str. 44 — 63, 125 — 138); (Anonim) *Ob-  
szar języka litewskiego w gubernii wileńskiej, Materiały an-  
tropologiczno-archeologiczne*, wyd. Akademii Umiejętności,  
tom III (1898), Dz. II, str. 1 — 72; Rozwadowski: *Mapa języka litewskiego w gubernii wileńskiej, Materiały  
i prace komisji językowej Akademii Umiejętności*, I (1904),  
str. 89 nast.

zaś w polskim języku, stosując się do zmienionych potrzeb społeczeństwa. Aż wreszcie w końcu XVII wieku runął i ten przeżytek starodawnych form, a polski język zapanował w urzędzie wszechwładnie i niepodzielnie, jak od dawna ogarnął był całe życie litewskiej i ruskiej szlachty. Jej zupełna asymilacya, nieświadoma u każdej z osobna jednostki, w każdym zaś pokoleniu coraz wybitniej postępująca, aż do zupełnego spolszczenia, dokonywała się nietylko bez żadnego nacisku ze strony Polski, ale bez jakichkolwiek zabiegów, starań, dążeń, świadomych celu — naturalnym jedynie biegiem rzeczy. Był to w całym znaczeniu tego wyrazu zwrot odruchowy ku wyższej, ponętniejszej kulturze chrześcijańskiego Zachodu, już wówczas rozdartego na dwa wyznaniowe obozy <sup>1)</sup>. Litwa i Ruś wchłaniały ją w najprzystępniejszej dla siebie postaci, odkąd jej prąd przyływał za Bug i Niemen z jej wschodniego posterunku nad Wisłą; tem chętniej, bez uprzedzeń wchłaniały, że nikt jej nie narzucał, że przez dwa wieki wprawdzie toczyły się ostre spory o Unię, o upostaciowanie politycznej łączności między Polską a Litwą, o przewagę Korony nad W. Księstwem lub równorzędność obu części składowych Jagiellońskiej monarchii, ale z zupełną obojętnością na język, ten kręgosłup narodowości. Instynktownie polszczyła się Litwa i Ruś litewska, odczuwając w polskości

<sup>1)</sup> Za mało uwagi zwracano dotąd na interesującą rolę, jaką odegrał litewski kalwinizm, i w całym tym procesie asymilacji i w owej szczególnej ewolucji na polu religijnem, wśród której wiele rusko-litewskich rodów przez kalwinizm przeszło na katolicyzm. Kalwinizm był wielokrotnie krótkim jedynie, przejściowem ogniwem, przyczyniał się jednak niepospolicie do posunięcia i przyspieszenia asymilacji, używając w nabożeństwie, w kazaniach i t. p. narodowego języka, przystępnego pozyskanym zwolennikom, t. j. polskiego, a unikając ruskiego, jako liturgicznego w wschodniej Cerkwi. Ówczesna martwota tej Cerkwi sprzyjała kalwińskiej propagandzie; gdy zaś w Polsce i na Litwie przemieła gorączka reformacyjna, ruskie rody, które przyjęły kalwinizm, zobojętniały dla wschodniego obrządku, po dwu a nieraz nawet już po jednym pokoleniu (kalwińskim) poprzehodziły tłumnie na katolicyzm i zrastały się tem bardziej z polsnością.

źródło sił kulturalnych, których na Litwie nie lekceważono, chociażby tylko dla skutecznej obrony przeciw politycznej przewadze koronnej Polski. Jak Litwa ochoczo sobie przyswoiła polskie urzędy, przyjmując je bez szemrania w Unii horodelskiej, jak nigdy wśród późniejszych zatargów, tylekroć bliskich zupełnego zerwania, nie znać żadnej niechęci przeciw tym urządzeniom: tak też tym samym instynktem wiedzona, przejmowała się z wolna wszyskiem, co polskie, ulegała bezwiednej asymilacji. Mimo to jednak, na gruncie takiej asymilacji, z przyswojonym językiem polskim i licznymi właściwościami polskiego obyczaju, Litwa, zarówno rdzenna jak Litwa białoruska, nie przestawała być sobą, nie utonęła w Polsce. Ona to raczej wniosła w kręgi polskiej kultury tyle odrębnych, na wskrós rodzimych znamion litewskiej i białoruskiej indywidualności etnicznej, że tem samem polskości po prawym brzegu Niemna i Bugu nadała znamienne cechy osobnego typu, który przez długie wieki oddziaływał na rdzenną, koronną Polskę, do dziś dnia nie przestał wywierać na nią dobroczynnego wpływu, i stał się pod wielu nawet względami doskonałym wyrazem zespolonej całości. Po Unii lubelskiej, z każdym niemal pokoleniem punkt ciężkości polskiej historii przesunął się coraz więcej za Niemen, Bug i Dniestr, historii politycznej i kulturalnej. Widoczne to po utracie bytu politycznego, w początkach porozbiorowych dziejów, gdy Litwa i Ruś przodują w rozwoju polskiej kultury, gdy z litewskiego typu polskość tryska w Wilnie eliksyr życia, nieobliczonej na całą przyszłość siły w utrzymaniu bytu narodowego.

## II.

W półtrzecia wieku po bitwie pod Grunwaldem, dokonany już faktem był ten jedyny w dziejach proces asymilacji. Nie objął on wielkiej masy ludowych warstw albo też z lekka ich tylko dotknął: warstw, które u nas, jak wszędzie wówczas, drzemały i długo jeszcze miały pozostać jakby w przeddziejowym uśpieniu, jak przed pięcioma czy sześcioma wiekami, w epoce Drewlan, Krywiczów i rozdrobnionej Li-

twy przed Mendogiem. Etniczny ich charakter nie ważył jeszcze wcale w ówczesnych dziejach, jak i w ciągu dwóch dalszych wieków nie miał znaczenia. Za to asymilacja ogarnęła zupełnie ogromne masy „szlacheckiego narodu“, tej jedynej w swoim rodzaju formacji społecznej, nie bez słuszności mianem „narodu“ odznaczonej, ponieważ i liczebnie, miliona sięgając liczbą, odstawała daleko od znamion zachodniego szlactwa, i w odrębnej swojej strukturze nie miała nic wspólnego z feudalnym rycerstwem zachodniej Europy. Asymilacja objęła w tej samej niemal mierze wszystkie, tak różnorodne warstwy i odcienia „szlacheckiego narodu“, od potężnych „królewiąt“, którzy pozycją ekonomiczną i znaczeniem społecznym prześcigali niekiedy udzielnych książąt, aż do tej drobnej szlachty zaściankowej, co pod względem ekonomicznym nie była niczem innym, jak swobodnym właścicielstwem, wyposażonem w prawa polityczne. Dzielnym czynnikiem asymilacji stała się w obrębie „szlacheckiego narodu“ panująca doktryna szlacheckiej równości; ona to wniosła w jego niższe warstwy, aż pod strzechę zaścianków, ów znamieny a nieświadomy popęd naśladownictwa, który odegrał tak ważną rolę w rozprzestrzenieniu języka, obyczaju, nawyków, wkorzenionych u góry, w dolne pokłady szlacheckiej społeczności. Przez mnogą klientelę możnych magnatów roztaczał polski język i obyczaj szerokie kręgi po niezliczonych dworach i zaściankach, wnosząc w szeroką masę szlacheckiego narodu, obok ujemnych czynników politycznych, dodatnie też bezwątpienia kulturalne pierwiastki. Tak przez półtrzecia wieku, zrazu pod promieniami włoskiego humanizmu i w żarach wyznaniowej rozterki, a następnie wśród zjednoczenia religijnego i ożywienia katolickich uczuć, ukształtowały się, utrwaliły znamienne cechy polskości XVII wieku, niewzruszone jej podwaliny na dalszą metę, w całej Rzeczypospolitej obojga narodów, od ujścia Wisły aż po stepy kresowe, od Warty aż za Dźwinę, za Berezynę.

W obronie tej szlacheckiej Rzeczypospolitej, jej granic i jej treści, stanęło pod Beresteczkiem popolite ruszenie szlacheckiego narodu, z przydatkiem niedość licznej regularnej armii, równo w 251 lat po Grunwaldzie; stanęło tu przeciwko wrogim żywiołom, których w przeciągu półtrzecia wieku po-

tomstwo bohaterów grunwaldzkich nie zdołało ani przyswoić sobie, ani okiełznać. W obozie nieprzyjacielskim znaleźli się, jeżeli nie potomkowie także grunwaldzkich wojowników, to przynajmniej przedstawiciele tych samych elementów, które tam wespół z Polską i Litwą zmogły Niemców; tam stały obok siebie, skojarzone braterstwem broni, pod znakami trójramiennego krzyża i półksiężyca: Ruś schizmatycka, z Polską niezespólna, i horda perekopska. „Wśród tłumów czerni i wojska kozackiego snuło się mnóstwo popów, czerńców i — czarownic. Trzy wielkie dzwony, które za obozem wieszono, na potężnych rusztowaniach zawieszono, zwolowały codzień na modlitwę. W wielkiej cerkwi polowej, z kilkuset namiotów upiętej, odprawiano się nabożeństwo z całym przepychem wschodniego obrządku. W obozie znajdował się patriarcha aleksandryjski Eudoksy, metropolita kijowski Sylwester Kosow, poseł patriarchy carogrodzkiego biskup koryatycki i wielu innych dygnitarzy greckiego Kościoła. W namiotach hetmana stały beczki złota i srebra na zapłacenie tatarskiej hordy“...'). A daleko od pól beresteckich, dokoła domowych ognisk tej zbrojnej szlachty, co pospolitem ruszeniem przyciągnęła nad Styr, snuły się pojedynkiem liczne a rozproszone rzesze dziadów-lirników, tajnych emisaryuszy Bohdana Chmielnickiego, porozsyłanych w rdzenie polskie województwa, by tam buntować włościan przeciw nieobecnym panom, na doszczętną zagładę szlacheckiej Rzeczypospolitej. We dwa ognie miała być wzięta, przez swoich i przez wrogów, we dwa ognie, tem samem łuczywem rozjarzone: klasowej nienawiści, stuletnich uraz<sup>2)</sup>).

Dwa światy tu się starły, jak niegdyś pod Grunwaldem. Po jednej stronie najmłodsze społeczeństwo zachodniej Europy, na jego czele król Jan Kazimierz z poświęconą

1) Kubala: *Szkice historyczne*, II, str. 260.

2) Położenie włościan w Polsce, tak niezmiernie pomyślnie za czasów Piastowskich od połowy a zwłaszcza od końca XIII wieku, nie o wiele zmienione w Koronie za pierwszych Jagiellonów, pogarszało się coraz bardziej od XV stulecia, nie bez oddziaływania stosunków litewskich na stan rzeczy w Koronie. Jedną to z niewielu ujemnych stron Unii, na co niedość dotąd zwrócono uwagi.

szpada, którą mu na ten bój przysłał papież, Rzeczpospolita z tradycjami Cecory i Chocimia, z perspektywą Żurawna, Lwowa i Wiednia, „przedmurze chrześcijaństwa“, według nazwania owej epoki. Po drugiej, niezliczona moc czerni pod buławą przeniewiercy-awanturnika, co dzierzył również w dłoni miecz poświęcany, dar patriarchy carogrodzkiego, patriarchy, wiernego sługi sultana — obok tej czerni sultańska służebnica, krymska horda, spadkobierczyni Pieczyngów i Połwców, odwieczna plaga czarnomorskich stepów, pod której zabójczym gniotem od niepamiętnych czasów ziały zniszczeniem — niegdyś na Ruś kijowską, później na Polskę — „dzikie pola“, bogato wyposażone wszelkiem błogosławieństwem „ziemi obiecanej“, pogrążone w bezduszuem, pustynnem odrętwieniu.

Zwyciężyliśmy, Rzeczpospolita ocalała. A zwyciężyliśmy nietyle siłą oręża, męstwem rycerza, który miał o co walczyć, jak raczej wyższą organizacją, mimo rozstroju, już tak daleko wówczas posuniętego. Czem była ta czerń kozacka — dowiodło starcie pod Beresteczkiem. Olbrzymia, dzikością straszna, ale bezładem słaba, znikoma, stała się naraz — niczem, w jednym momencie, odkąd jej brakło wodza, który sam jeden umiał spoić ją w jakąś całość, wyzyskując dla samolubnych celów niskie instynkta czerni i sprawność jej przywódców. Niczem była w swoim ogromie bez Polaka szlachcica, który ją opanował. Chmielnicki, krwią, tradycją powołany był raczej na bohatera pod polskimi znakami; pośliznąwszy się na urwisku osobistej urazy, pechany dalej i dalej oszołomieniem niespodzianych powodzeń, w trunku i w krwi przelanej topiąc wyrzuty niezgasłego sumienia, potrafił ująć bezładną masę w karby jakiej takiej organizacji i staczał się z nią na dół fatalną siłą bezwładności, bo nie mógł w pół drogi stanąć, aż go prąd zaniósł pod Beresteczko. Tu bój rozstrzygnął się w drugim starciu, w sam dzień św. Piotra i Pawła, gdy chan tatarski umknął z pola bitwy, wprowadzając ze sobą Chmielnickiego; w tydzień potem (6 lipca 1651 r.) pogrom zupełny padł na kozacki tabor, pozbawiony hetmana. Na wieść o beresteckiem zwycięstwie, w kościele św. Piotra w Rzymie, w wiedeńskim tumie św. Szczepana, w Paryżu nawet, zabrzmiało uroczyste *Te Deum*. Rozumiał

dobrze chrześcijański Zachód, że na Wołyniu rozgrywała się sprawa między jego najdalszym na wschodzie posterunkiem a barbarzyństwem Wschodu.

Zmarnowaliśmy Beresteczko, bardziej niż Grunwald. Po Grunwaldzie ostał się wprawdzie Zakon krzyżacki, by po stu latach przeistoczyć się w Prusy. Bądź co bądź jednak, w pół wieku po Grunwaldzie ujście Wisły, wydarte Piastom przez Krzyżaków, wróciło do Jagiellońskiej Polski; tyleż czasu po Beresteczku, stanęliśmy w przededniu bitwy nad Połtawą. Tam Kozaczyna utonęła w cesarstwie Piotra Wielkiego, tam zwycięzca, *qui statuit sedem suam in aquilone*, zgarnął pojętne dla siebie plony naszej niemocy, wiekowych naszych grzechów zaniedbania, z świeżym owocem niespożytych zasług, bohaterskich wysiłków i krwi przelanej pod Wiedniem, pod Chocimem.

Im większy tryumf zwycięskiego oręża, tem cięższe też na zwycięzcę spada brzemie obowiązków; jeśli im nie podoła, jeśli je lekceważy, niepowstrzymaną siłą logiki faktów stacza się w przepaść. Takie prawo historii. Grunwald, to wyraz i wczesny razem owoc tego śmiałego porywu ku wschodowi, który przed Polską Kazimierza Wielkiego rozpostarł widnokreśli szerokich zadań, przechodzących, być może, nawet jej siły. *Ut desint vires...* wielkiego też, co najmniej, wysiłku dobrej woli wymagał zuchwały rozpęd, łączący Polskę z Litwą. Punktem wyjścia była tu bowiem myśl ostatniego Piasta, poczęta przygarnięciem Czerwonej Rusi a skierowana śmiało aż ku Czarnemu Morzu, przez pustynne Podole, skąd, jak przedtem z nad Dniestru, trzeba było odegnąć tatarską hordę. Kazimierz Wielki zetknął się w tych zamysłach z zaborami Olgierda. Powstrzymany tem rozpęd odżył na nowo w następnem pokoleniu; Polska za słaba jeszcze, by Litwie razem podołać i Tatarom, Litwie podała rękę: tu istotny zawiązek Unii. Odkąd chrzest dała Litwie, przejęła też na siebie szeroki rozmach Olgierdowego państwa, ale chrztem uświęcony. W pierwszym rządzie jej zadań stało trwałe, niepowstrzymane posuwanie granic na południowym wschodzie, pustkami stepów za Bohem i za Dnieprem, aż ku Krymowi, ze świadomym, jasno wytkniętym celem, w którym musiało tkwić ostatecznie zegnanie czy zgnicenie

perekopskiej hordy, albo jej przyswojenie, o ile sama logika faktów nie miała z czasem ściągnąć katastrof XVII wieku. A równoległe z tem naczelnem zadaniem szło drugie, ściśle z niem zespolone, wynikające z samej struktury Olgierdowego państwa, tego olbrzyma o glinianych nogach, któremu było na imię Litwa, gdy treść jego wypełniał w dwóch trzecich częściach, albo i więcej, ruski lud, schizmatycki. Mężna obrona kresów, z systematyczną, świadomą celu kolonizacją, bez lęku przed stanowczą rozprawą z Tatarami a choćby z ich zwierzchniczką, potężną, groźną Turcyą; bohaterska gotowość do tej walnej rozprawy ze skupieniem wszystkich sił, nie przygodne utarczki z krymskimi czambułami, nie junackie wyprawy Zaporozców nad Czarne Morze, drażniące tylko niebezpiecznego wroga — to jedno. A drugie: unia kościelna, niezbędne dopełnienie unii politycznej, z ścisłem uszanowaniem wschodniej liturgii, bo z nią zrosło się serce Rusi, ale bez małodusznych ustępstw, które musiały niszczyć żywotność wielkiego dzieła, więc z celibatem, z trwałemi rękojmiami szczerzej jedności; taka unia, poparta wielką siłą ofiary, nie przemocą ani przynętą, lecz żarliwością apostołskiego ducha, rozszerzona na całej Rusi, jak krew męczén-ska św. Józafata na północy ją utwierdziła. Oto dwa cele, od których dokonania, po utwierdzeniu unii politycznej, zawisł byt zjednoczonej Rzeczypospolitej.

Wielkie zadania! Dobrze spełnione, mogły całemu wschodowi Europy dać inną zgoła postać, niepodobną do tego, jakim go dziś widzimy; mogły silnie oddziaływać na półwysep bałkański, rozwiązać „kwestję wschodnią“, dawno, stanowczo, a szczęśliwie dla interesów chrześcijańskiej cywilizacji. Za wielkie — twierdzono nieraz — zadania na siły nasze, siły nie wyrobione jeszcze na tyle w młodzieńczej Polsce, aby im mogła sprostać w tym ustroju wewnętrznym, społecznym i politycznym, w jakim zastała nas unia z Litwą, zwłaszcza, że wielki zasób tych sił był zaprzątnięty niebezpieczeństwem, grożącym stale od strony Moskwy, dobrodziejstwem inwentarza, przejętego w spuściznie po Olgierdowej Litwie. Nikt jednak nie zaprzeczy, że była u nas żywa świadomość wszystkich tych zadań, wyraźnie zarysowana w wyższych umysłach, bez dociągnięcia woli, zbiorowej zwłaszcza woli, do celów

jasno uświadomionych. Dość przypomnieć, już od Jagielly czasów, sprężyste w niektórych chwilach i znów na długą metę słabnące zabiegi w sprawie unii kościelnej; za Zygmunta I projekta reform skarbowych i wojskowych, związane ściśle z rozsądną obroną kresów; plany wojenne Władysława IV. Nad tem wszystkim górują zamysły Batorego, zniweczone przedwczesnym zgonem, w 11 lat po elekcji wielkiego króla. W ich krąg wchodziły wszystkie problemata, stanowiące podówczas o bycie Polski: odparcie Moskwy, szczęśliwie dokonane; unia kościelna, pomyślana głęboko i doskonalsza od tej, która po śmierci króla Stefana stanęła w Brześciu; wielka, na kilka lat rozłożona wyprawa za Bałkany, dla wypędzenia Turków z Europy, szeroko planowana, ze współdziałaniem Papieża i Cesarza, włoskich państw i Hiszpanii, z hasłem unii kościelnej, dla odrodzenia ludów bałkańskiego półwyspu; jędrna organizacja bujnej Kozaczyzny i poskromienie krymskich Tatarów. Czy stać nas było na to nawet i pod Batorym, nawet gdyby był pożył ze dwadzieścia lat dłużej? Wolno tak mniemać i wątpić wolno; w każdym razie dość było siły, by wszystkie te zadania dalej posunąć, skuteczniej spełnić, niż to stało się rzeczywiście. Między tem wszystkim, co ogarniała myśl Batorego, a małoduszmem zaniedbaniem kresów, w sprawach kościelnych, pod względem gospodarczym i w obronie przed Tatarami — między szerokim widnokretem tych planów a wstydliwym haraczem, który płacono bordzie pod pokrywką *jurgieltu*, patrząc przez szpary na tatarskie zagony — a wzrastającym kwietyzmem szlachty, unikającym wojny z Turkami za jakąkolwiek cenę, a brzeską nawet unią i jej dziejami w XVII wieku — między jasnemi ideałami wielkich serc i umysłów a szarą rzeczywistością przepaść ogromna. W jej obrębie niemało miejsca na pełniejsze i doskonalsze rozwiązanie tych problematów, pomimo wojen moskiewskich, szwedzkich, nawet mimo rokoszu Zebrzydowskiego.

Wszystkie te zagadnienia wiązały się ze sobą, spletały organicznie, przenikały wzajemnie. Bliskość Tatarów, rzucenie kresów na pastwę ich zagonów, łupiestwa i jasyru — to istotna przyczyna powstania i rozrostu siczowej Kozaczyzny. Sicz zaś dość długo nie była niczem innym, jak luźnem zbiorowiskiem awanturników, bez wybitnych cech narodowych,

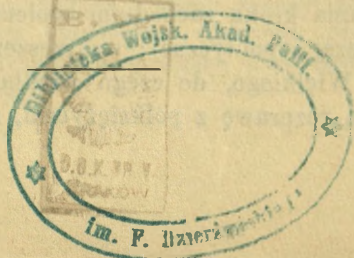
a zwłaszcza wyznaniowych, dopóki Turcy — tak, dopóki jej Turcy nie przekształciła w przednią straż schizmy <sup>1)</sup>, przez swe narzędzia agitatorskie, przez greckich mnichów, archie-

<sup>1)</sup> To spostrzeżenie, zaznaczone powyżej zaledwie w kilku słowach, wymagałoby szerszego rozwinięcia i uzasadnienia, na które tu niema miejsca. Co do mnie, jestem przekonany, że utrzyma się ono w historyi i rozjaśni zawiłą genezę wojen kozackich, gdy niepospolita a demoniczna postać patriarchy Cyryla Lukarysa doczeka się wyczerpującej monografii. Jest to, mojem zdaniem, jeden z najważniejszych postulatów w dziedzinie historyi Wschodu Europy; tu znajdzie się też klucz stosunku Rusi do Polski za czasu Wazów. Poprzestanę tylko na przypomnieniu zasadniczych faktów. Lukarys, Grek, urodzony na Krecie, wykształcony we Włoszech i w Niemczech, przesiąkły doktrynami Kalwina, zapragnął niemi »reformować« Kościół wschodni. Oś jego działalności stanowią zaciekle nienawiść papieżstwa i katolickiej Polski, którą poznał dokładnie za swego w niej pobytu, w Wilnie a następnie w Ostrogu, gdzie był rektorem tamtejszej Akademii. Był to zły duch Konstantyna Ostrońskiego; wyzyskał próżność i słabą głowę tego możnego patrona ruskiej Cerkwi i utwierdził go w schizmie, gdy przedtem, przed unią brzeską, Ostroński skłaniał się już bardzo ku unii. Powróciwszy na Wschód, Lukarys, od r. 1603 patriarchy aleksandryjski, następnie carogrodzki 1621 r., powtórnie 1623 — 1634, po raz trzeci 1637 r., wywierał na tych stanowiskach wielki wpływ w Konstantynopolu i wysługiwał się Porcie całą siłą niezwyklej inteligencji, energii, nienawiści ku Polsce, w stosunkach z Rzeczpospolitą i z Kozakami. Lukarysa też dziełem była misya jego kolegi, jerozolimskiego patriarchy Teofana, na Ukrainę, w r. 1620, parę miesięcy przed bitwą pod Cecorą, dokonane przezeń odnowienie rozbitej hierarchii schizmatycznej w Rzeczypospolitej, zręczna organizacya wojującej schizmy przeciw unii i katolickiej Polsce. Za to też podobno dopiął Lukarys upragnionego celu długoletnich zabiegów: uznano go za nieocenione narzędzie polityczne i przeniesiono z aleksandryjskiej stolicy na carogrodzką, w następnym zaraz roku po misyi Teofana, w roku »wojny chocimskiej«. Mimo reakcyi zagrożonej »ortodoksyi« przeciw kalwińskim dążeniom patriarchy, dwakroć z tego stanowiska strącany, dwa razy jeszcze powracał do władzy.

rejów i patryarchów. Wskutek bezprzykładnego zaniedbywania interesów kościelnych w ziemiach kresowych, przepadły dla Polski ogromne rzesze osadniczej ludności, przybywającej z polskich województw, mnożyły tylko liczbę jej wrogów; polski osadnik, pozbawiony kościoła katolickiego, ruszczył się szybko w cerkwi, a w drugim pokoleniu krwią z krwi polskiej zasilał Sicz zaporoską. Gospodarka na latyfundiach polskich „królewiat“, za Bohem i nad Dnieprem, przyczyniła się wiele do zaostrzenia nienawiści klasowych, narodowych i wyznaniowych, a tem samem i do wybuchu kozackich wojen. I na te zaś latyfundiya i na taką w nich gospodarkę nie byłoby tyle miejsca na Podolu, na Ukrainie, gdyby zawczasu rozwiązano problemat obrony kresów i osadnictwa po myśli planów wojskowych i skarbowych z czasów Zygmunta I. Tu był istotnie węzeł najżywotniejszych dla nas zagadnień politycznych, kościelnych, społecznych i gospodarczych. Zamierzone reformy skarbowe i wojskowe, obok bezpośredniego celu, oprócz ubezpieczenia kresów, mogły dać Polsce wszystko, czego jej brakło: skarb, regularne wojsko, a zarazem wzmocnienie królewskiej władzy, nietylko przez skarb i wojsko, lecz i przez odpowiednie uposażenie zubożałej korony na gruncie racjonalnej kolonizacji kresów. I jedno jeszcze. Równowaga społeczna Kazimierzowskiej Polski zwichnęła się w Jagiellońskiej przez jednostronną wybijalność szlachty, nieuniknioną, odkąd w Polsce upadły miasta, niegdyś niemieckie, tak pełne jeszcze bujnej żywotności w XV wieku, pod względem narodowym zupełnie przyswojone. Ten zaś upadek miast i mieszczaństwa, to właśnie nieuchronne, bezpośrednie następstwo opanowania północnych brzegów Czarnego Morza przez Turków i Tatarów, wskutek ruiny geneueńskich kolonii: potomkowie Wierzyńków spadli naraz na poziom zubożałych kramarzy ze stanowiska kupców, pośredniczących w światowym handlu Wschodu z Zachodem. Jedno mogło ich dzwignąć z tego upadku, przywrócić utraconą społeczną równowagę, a tem samem dać możność dostrzymywania kroku zachodnim społeczeństwom w dziedzinie gospodarczej i politycznej: wskrzeszenie wielkich myśli Kazimierza Wielkiego, do czego wiodła droga jedynie przez zwycięską rozprawę z półksiężycem, z Turcyą i z Tatarami.

Czego nie dokonano między Grunwaldem a Beresteczkiem, na to po Beresteczku było za późno. W rządzie niewypełnionych zadań, najżywotniejsze zanikły niepowrotnie na widnokregu naszych przeznaczeń; inne, podjęte później, po zawieruchach wyniszczających wojen, w okresie Sasów, w czasach niemocy i odrętwienia, nacechowane wszystkimi znamionami tej nieszczęsnej epoki, spłaszczyły się w wykonaniu do jej poziomu: druga kolonizacja kresów po odzyskaniu Podola i unicki synod zamojski 1720 r.

Z zastanowienia nad obu rocznicami, Grunwaldu i Beresteczka, płyną myśli, zniewalające raczej wejść w siebie, rozważyć wielką sumę win zaniedbania w ubiegłych wiekach, na użytek przyszłości — niż upajać się szumem przebrzmiałego tryumfu. Na użytek przyszłości — godzi się to powtórzyć — w którą nikt nie przestanie wierzyć, kto nie popadnie w małoduszny pesymizm, nie straci równowagi, kto obok cieniów widzi w przeszłości promienne blaski jasno bijących w oczy a niespożytych zasług. Dorobek zasług nie zmarnowany, mimo rozbioru Polski i wszelkich jego następstw; ostał się, nie zmarnieje, ku zdziwieniu obojętnego XX stulecia, wbrew wysiłkowi tytanicznych potęg, sprzysięgłych na zagładę narodu. *Fuimus...* ten rozpaczliwy jęk rwał się ze zbolałych serc po rozbiorach; dziś, po stu latach klęsk i zawodów, bez przeceniania siebie, wołamy: *Sumus!...* Żyjemy i przetrwamy. Samem istnieniem, wytrwałem utrzymaniem narodowego bytu, wypełniamy testament grunwaldzkich bohaterów, i wobec spadkobierców krzyżackiego Zakonu, i za Niemnem, za Bugiem. Tu i tam obronimy tę polską duszę, którą nam pragną wydrzeć; obronimy, z wiarą w jej przyszłość, z nadzieją, że będzie dalej pełnić swe posłannictwo, w imię miłości, bratającej narody. A w znojach, w cierniach tego posłannictwa krzepić nas będzie pamięć Grunwaldu: żywa świadomość, żeśmy zawsze potrzebni na tym samym obszarze, za który tam krew płynęła, że nie przestaniemy być przednią strażą katolickiego świata na wschodzie Europy.



R. 204/24



55703/  
2